

Ross Thomas



Wudu Ltd.

Tytuł oryginału: *Voodoo, Ltd.*

© 1993 by Ross Thomas
© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-51-2

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB oraz Espadon
Publishing Sp. z o.o.
ebook@espadon.cba.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone

Ross Thomas

Wudu Ltd.

Przekład: Maria Gębicka-Frać

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2020

1

W Nowy Rok, krótko po piątej nad ranem, przez Malibu, z prędkością przekraczającą sto trzydzieści kilometrów na godzinę, pędził prawie nowy dwuosobowy mercedes benz 500 SL, który kosztował sto jeden tysięcy czterysta czternaście dolarów i dwadzieścia osiem centów. Prowadziła go jedną ręką – lewą – Iona Gamble. Zmierzony później poziom alkoholu w jej krwi wynosił 1,16 promila, co znaczyło, że pod względem prawnym czy jakimkolwiek innym była pijana. Przytrafiło się jej to drugi raz w życiu.

Aktorka oraz reżyserka, która dzięki podwójnemu zawodowi należała do grona tak zwanych w hollywoodzkim żargonie „nieśmiertelnych”, ciągle prowadziła lewą ręką, w prawej zaś trzymała słuchawkę. Wysłuchawszy trzydziestego piątego i ostatniego sygnału, zamieniła słuchawkę na butelkę czterdziestoprocentowej wódki Smirnoff, która dotychczas leżała na fotelu pasażera. Po przełknięciu ostatnich pięćdziesięciu mililitrów opuściła lewą szybę i wyrzuciła pustą butelkę na zewnątrz. Butelka rozbiła się na hondzie civic z roku 1986.

Przez chwilę Iona Gamble odczuwała pokusę, by zatrzymać się i zostawić notatkę z propozycją zapłaty za poczynione szkody. Jednakże nim notatka została wymyślona, zredagowana i poprawiona, Iona była już prawie dwa kilometry za hondą i zbliżała się do celu swej podróży w Carbon Beach. Po przejechaniu kolejnego kilometra notatka, rozbita butelka i honda całkowicie wyleciały jej z głowy.

Iona jechała środkowym pasmem autostrady Pacific Coast, wrzuciła luz i zwolniła do przepisowej prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Próbowwała znaleźć ciśnietego gdzieś pilota, który otwierał stalową bramę. Brama strzegła domu wartego trzynaście milionów dolarów i – ku irytacji wszystkich znajomych – zwanego przez właściciela „domkiem plażowym”.

Iona nie znalazła pilota, ale gdy skręciła w lewo, przecinając dwa pasy autostrady prowadzącej na wschód, w światłach wozu ukazała się otwarta brama, wjechała więc na teren posiadłości i zaparkowała przed garażem mogącym pomieścić trzy pojazdy. Drzwi, mimo że minęło już siedem dni od świąt Bożego Narodzenia, nadal ozdobione były fantazyjnym tryptykiem ze świętym Mikołajem, reniferami i elfami.

Iona wyłączyła silnik oraz światła i jeszcze raz podniosła słuchawkę. Wystukała ten sam numer co poprzednio i wysłuchała piętnastu sygnałów. Odłożyła słuchawkę i dla odmiany zajęła się klaksonem – wciskała go w sekwencji: trzy krótkie, jeden długi. Ich brzmienie z grubsza przypominało literę V w alfabecie Morse’a – jedyń, jaką znała.

Po trzech minutach Iona przestała hałasować, opuściła lewą szybę i czekała na reakcję. Była przygotowana na to, że jakiś nerwowy sąsiad wrzaśnie, żeby się kurwa mać, przymknęła. Albo że Billy Rice wypadnie przed dom i będzie błagał ją, żeby na miłość boską weszła i wypila drinka – albo że nagle w jakimś oknie rozbłyśnie światło, co będzie dowodem, że Malibu o 5.11 we wtorkowy poranek 1 stycznia 1991 roku nie wymarło.

Jednakże kiedy nie rozległy się gwałtowne krzyki, nikt nie zaoferował drinka i nigdzie nie zapaliły się światła, Iona wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami tak mocno, jakby chciała, żeby coś pękło. Obeszła tył wozu, cofnęła się niepewnie

o trzy kroki, nabrała powietrza i ile sił w płucach wrzasnęła: – Billy, ty myszojebco!

Czekała, nasłuchując, ale gdy nikt ani nie zaprzeczył, ani jej nie obsztorcował, odwróciła się i skierowała do frontowych drzwi. Wtedy na piętrze żółtego domu po drugiej stronie drogi zapaliło się światło. Jaśniało w niewielkim, wysoko umieszczonym oknie, jakie zazwyczaj znajdują się w łazienkach, Iona doszła do wniosku, że prawdopodobnie jakiś biedny staruszek musiał wywlec się z łóżka przez kłopoty z prostatą.

Przed głównym wejściem do domu stał wysoki na dwa metry mur z klinkierowej cegły. Służył jako bariera zabezpieczająca mieszkańców przed wzrokiem ciekawskich i hałasem dobiegającym z drogi, a wraz ze ścianą domu tworzył krótkie, niezadaszone przejście, Iona skierowała się ku niemu, po drodze przetrząsając kolejno wszystkie kieszenie kremowej zamszowej kurtki, w poszukiwaniu kluczy do domu Billy'ego Rice'a.

Zdażyła sprawdzić każdą kieszeń po cztery razy, nim mgliście przypomniała sobie swój raptowny wyjazd z domu w Santa Monica. Starczyło jej czasu jedynie na zgarnięcie kluczyków do samochodu i butelki wódki, a zabrakło na zabranie brązowej skórzanej torebki. A właśnie tam, w zapinanej na suwak kieszonce na drobne, znajdowały się klucze do frontowych drzwi domu Rice'a.

Iona Gamble nadal była przekonana, że istnieje jakiś sposób na obudzenie Rice'a. Mogła, na przykład, łomotać w drzwi i dzwonić, a nawet wycić i szczekać niczym kojot. Już prawie zdecydowała się na kojota, gdy zauważyła, że drzwi są uchylone. Pchnęła je lekko na próbę, potem mocniej, tak że otworzyły się na całą szerokość.

Wewnątrz domu było ciemno, ale Iona wiedziała, że po lewej stronie musi znajdować się przełącznik i zaczęła szukać po omacku. Znalazła go i zapaliła lampy. Oświetliły one marmurowy hol, z którego można było przejść do ogromnego salonu i dalej, na równie wielki taras. Światła były zaprojektowane w taki sposób, że głównymi elementami holu stawały się dwa obrazy umieszczone na przeciwległych ścianach. Na lewej wisiał Chagall, na prawej Hockney.

Pod obrazem Hockneya stał kwadratowy stolik. Był niewielki, ale wystarczająco duży, by zmieściła się na nim dzienna korespondencja, trzy komplety kluczyków samochodowych i beretta kalibru 9 mm. Iona podniosła pistolet, przyjrzała mu się i zawołała:

– Hej, Billy, chcesz zobaczyć, jak odstrzeliwuję sobie wielki palec u nogi?

Czekała z pochyloną głową i pistoletem w prawej ręce, jak gdyby miała nadzieję na jakieś słowa protestu. Kiedy nic się nie stało, uniosła pistolet, wycelowała starannie i ściągnęła spust – tak, jak nauczono ją na strzelnicy w Beverly Hills. Pocisk zrobił małą, schludną dziurkę w lewym dolnym rogu płótna Chagalla.

Strzał nie wywołał ani krzyków, ani szlochów, więc Iona ruszyła powoli przez marmurowy hol i weszła do salonu. Przez znajdującą się naprzeciwko całkowicie przeszkloną ścianę mogła zobaczyć światła Santa Monica i leżące dalej przyćmione światła Palmo Verdes, gdzie – wiedziała o tym na pewno – mieszkali najnudniejsi ludzie w Kalifornii, a może i na całym świecie.

Odwróciła się od ogromnego okna i wtedy w południowo-zachodnim kącie pokoju zauważyła wielką bryłę. Z jakiegoś powodu wyglądała ona na zgubioną, po-

rzucaną czy może po prostu zapomnianą. Iona, niezmiernie zaciekawiona, przemierzyła salon i przełożyła pistolet do lewej ręki. Prawą zapaliła lampę na stole i odkryła, że tą bryłą jest William A.C. Rice Czwarty.

Leżał na boku. Otwarte niebieskie oczy wpatrywały się w belki wysokiego sufitu. Prawa noga była nieznacznie zgięta w kolanie, lewa wyprostowana; ręce rozrzucone, prawa dłoń wyciągnięta w kierunku południowym, lewa w północno-zachodnim. Na nagiej owłosionej piersi nieco na lewo od prawej sutki widniały dwie ciemne dziurki. Stopy były bose, a białe tenisowe szorty poplamione.

Iona Gamble, gwałtownie chwytając powietrze, gapiła się na martwego mężczyznę przez co najmniej trzydzieści sekund.

– Cholera, Billy, żałuję, ale nie jest mi przykro – wysapała wreszcie.

Odwróciła się i, zataczając lekko, podeszła do małego barku. Nalała do szklanki pięćdziesiątkę whisky i wypila alkohol jednym haustem. Whisky wywołała atak kaszlu. Zdołała opanować go dwie minuty później, po czym podeszła do telefonu, osunęła się na fotel – jak wiedziała, był to ulubiony fotel Billy’ego Rice’a – położyła pistolet na kolanach, podniosła słuchawkę i wystukała numer 911.

Pod numerem policyjnego pogotowia zabrzmiał pierwszy sygnał. Po ósmym Iona ziewnęła. Po dziesiątym położyła słuchawkę na stole, kurczowo zacisnęła dłoń na kolbie beretty, zamknęła oczy i zapadła w pijacki sen.

Nadal spała i nadal ścisnęła berettę, gdy o 6.27 do salonu weszli dwaj zastępcy szeryfa. Zabrali pistolet, obudzili Ionę, odczytali przysługujące jej prawa i aresztowali, jako podejrzaną o dokonanie zabójstwa pierwszego stopnia na osobie Williama A.C. Rice’a Czwartego, który od roku 1950, kiedy to w Kansas City po raz pierwszy poszedł do prywatnego przedszkola, nazywanego był Billym Czwartym przez wszystkich, którzy go nie lubili czy też nienawidzili, czyli, jak ktoś później powiedział: „Przez prawie wszystkich, którzy znali go dłużej niż trzy minuty”.

Trzy tygodnie później, w styczniu roku 1991, Iona Gamble została oskarżona o zamordowanie Williama A.C. Rice’a Czwartego, a następnie zwolniona za kaucją. Zastępca prokuratora generalnego okręgu Los Angeles zażądał kaucji w wysokości co najmniej dwóch milionów dolarów, ale sędzia wyższej instancji sądu okręgowego w Santa Monica ustalił ją na dwieście tysięcy. Broniąc swojej decyzji, zadał retoryczne pytanie: „Dokąd mogłaby uciec lub gdzie się ukryć osoba z twarzą znaną niemal całemu światu?”.

2

Iona przyczała się w swoim trzynastopokojowym domu w stylu kolonialnym przy Adelaide Drive w Santa Monica. Prócz niej mieszkało tam tylko dwoje Salwadorczyków, zajmujących pokoje nad garażem, sześć kotów, trzy psy i jeden oswojony kłapouchy królik, który przez większość czasu skakał w górę i w dół po schodach.

Siedziała na pierwszym piętrze w pracowni, którą nazywała gabinetem, i rozmawiała z Jackiem Broachem na temat obrońców zajmujących się sprawami kryminalnymi. Jack Broach, jej menadżer, agent i osobisty prawnik, był wychowankiem Uniwersytetu Kalifornijskiego (rocznik 68) i Boalt Hall (71) oraz byłym pracownikiem Agencji Williama Morrisa (lata 1977-79). Podobnie jak wielu agentów przemysłu rozrywkowego po czterdziestce, przypominał zadbanego aktora, który doskonale mógłby grać rolę zarówno młodego prezydenta, jak i podstarzałego pilota myśliwskiego.

Trzy ściany gabinetu pracowni zastawione były regałami wypełnionymi głównie powieściami i biografiami, czwarta zaś była całkowicie przeszklona. Rozciągał się za nią imponujący widok na kanion Santa Monica, góry i Pacyfik.

Iona Gamble siedziała na obrotowym krześle za wykonanym w 1857 roku w Memphis biurkiem maklera spekulującego na bawelnie, a Broach w stojącym w pobliżu wygodnym fotelu.

Iona wypila przez słomkę nieco dietetycznej wersji Dr Peppera i powiedziała:

– Jak na razie usłyszałam o unitarianinie z Massachusetts, o Żydzie z Wyoming, o Teksanczyku należącym do protestanckiego kościoła episkopalnego i o baptyście z Nowego Jorku. Teraz kolej na Waszyngton – kogo tam mamy?

– Jestem absolutnie pewien, że nie muzułmanina – zapewnił Broach.

– Opowiedz mi o nim, o tym facecie z Waszyngtonu.

– Zadzwoniłem do niego – zaczął Broach – i, jak do wszystkich innych, powiedziałem: „Cześć, jestem najlepszym przyjacielem i osobistym prawnikiem Iony Gamble, która potrzebuje najlepszego w świecie adwokata od spraw kryminalnych. Jesteś zainteresowany?”. Czterech z nich odpowiedziało: „O rany, jasne”, ale facet w Waszyngtonie rzekł: „Niespecjalnie”. Jak zwykle w tego rodzaju wypadkach byłem w szoku, że moje pytanie nie wywarło spodziewanego wrażenia.

– Jest chociaż dobry, ten z Waszyngtonu?

– Nie jest tak znany jak pozostali, jednak najlepsi prawnicy, których zdanie coś dla mnie znaczy, mówią, że jest wystrzałowy.

Gamble zmarszczyła brwi. – „Wystrzałowy” to twoje określenie czy innych?

– Moje. Używam go, ponieważ każdy wie, o co chodzi.

Iona pociągnęła następny łyk i powiedziała:

– Powinnaś wybrać tego faceta z Waszyngtonu?

Broach skinął głową. – Powinnaś wybrać tego, komu najbardziej ufasz i kogo najbardziej cenisz.

– A co z sympatią?

– To nie ma nic od rzeczy.

– Zapyta mnie, czy zabiłam Billa?

– Nie wiem.

Iona Gamble popatrzyła w sufit, jakby gdyby było tam wypisane jej następne zdanie.

– Lubię Żyda, szanuję baptystę i ufam episkopalnemu protestantowi – pomimo chamowatych manier Teksańczyków – ale unitarianina zdaje się zżerać przekonanie, że w końcu wyładujemy w łóżku.

– Cóż złego jest w optymizmie?

Jej spojrzenie powędrowało w dół. – Cholera, pomóż mi.

Broach pokiwał głową.

– Sama będziesz wiedziała – albo twój instynkt.

– Jesteś pewien?

– Bezwzględnie.

Usłyszeli gong u frontowych drzwi. Broach podniósł się i powiedział:

– To on. Zejdę po niego, przyprowadzę na górę, przedstawię i ruszam w swoją drogę.

– Dobrze wyglądam?

Jack Broach nie zwracał sobie głowy odpowiedzią.

Iona Gamble miała na sobie dżinsy, koszulę w kratę i podniszczone tenisówki na nagich stopach. Stała przy przeszklonej ścianie, wpatrując się w ocean i kanion, kiedy Broach wrócił z waszyngtońskim adwokatem. Odwróciła się i zobaczyła średniego wzrostu mężczyznę po czterdziestce, ubranego w bardzo drogi, ale źle dopasowany ciemnobłękitny garnitur, czarne buty, białą koszulę i stonowany krawat. Miał niezwykle długie ręce, twarz, która zdawała się być złożona z odrębnych elementów, i najmądrzejsze czarne oczy, jakie Iona w życiu widziała. Gdy w nie spojrzała, zalała ją intensywne uczucie ulgi.

Jack Broach dokonał prezentacji.

– Iona Gamble, Howard Mott.

Iona uśmiechnęła się i, wyciągając prawą rękę, ruszyła w stronę Motta.

– Mam ogromną nadzieję, że zostanie pan moim adwokatem, panie Mott.

Howard Mott ujął zimną, suchą rękę i uśmiechnął się.

– Zobaczymy, czy nadal będzie pani tak uważała po naszej rozmowie.

Mott przybył o jedenastej przed południem, a o 12.45 zamówili wielką pizzę z serem i pepperoni.

Gospodyni kucharka z Salwadoru podała ją z butelką piwa dla Motta i dietetyczną wersją Dr Pepper dla Iony. Mott wziął do ust kawałek pizzy, przeżuł go, przełknął, popił piwem i poprosił: – Proszę opowiedzieć, jak go pani poznała.

– Billy’ego Rice’a?

Mott skinął głową i zabrał się do następnego kawałka pizzy.

– Wie pan, kim on był, prawda? To znaczy wcześniej.

– Przed Hollywood? Tak, wiem, ale niech pani powie to własnymi słowami.

– „Kansas City Post” to on.

– No, Hemingway raczej dla nich nie pisał.

– Gazeta ta była jednym z pierwszych dzienników, który miał własny program radiowy w latach dwudziestych i telewizyjny w czterdziestych. Po wojnie posiada-

ła trzy stacje telewizyjne i cztery radiowe o zasięgu krajowym, sześć małych periodyków, magazyn dla farmerów, ogromną drukarnię i kawał centrum Kansas City. Dziewięćdziesiąt procent akcji tego wszystkiego było własnością Williama A.C. Rice'a Trzeciego, wnuka Williama A.C. Rice'a Pierwszego, który położył podwaliny pod ten interes. Po śmierci Billy'ego Trzeciego wszystko dostało się Billy'emu Czwartemu.

– Kiedy zmarł Trzeci? – spytał Mott. – Dziesięć lat temu?

– Dwanaście. Billy nie wypuszczał interesu z rąk przez osiem lat, potem, na początku osiemdziesiątego szóstego, gdy akcje osiągnęły najwyższą wartość, sprzedał wszystko. Dostał co najmniej miliard, może więcej. Później przeprowadził się tutaj i oznajmił, że jest niezależnym producentem filmowym, a skoro miał w banku miliard, wszyscy mówili: „Oczywiście”.

– To wtedy pani go poznała?

Skinęła głową. – Miał biuro w Century City tylko dla siebie, sekretarki i scenarzysty.

– Kiedy to było, w osiemdziesiątym szóstym, osiemdziesiątym siódmym?

– Pod koniec osiemdziesiątego szóstego, miesiąc po moich trzydziestych urodzinach, dzięki którym skończyłam trzydzieści cztery lata i weszłam w trzydziesty piąty rok życia, o ile nie podchodzi pan zbyt rygorystycznie do matematyki.

Mott uśmiechnął się i napił piwa.

– Wtedy też sporo wypłam i urwał mi się film – dodała Iona.

Było to nie tyle wyznanie, ile stwierdzenie faktu.

– Dlaczego?

– Dla aktorki trzydziestka oznacza koniec wspinaczki, niejako dotarcie na płaskowyż, na którym – o ile ma szczęście – pozostaje do czterdziestki, a potem zaczyna się nieuchronny spadek, czasami wolny, czasami zaś bardzo, bardzo szybki.

– Przecież trzydziestoletni człowiek jest jeszcze miody. I, jeśli mogę zauważyć, czterdziestoletni również.

– Ale czterdziestopięcioletni już nie i dlatego użyłam wszelkich znanych mi sztuczek, by dostać pracę reżysera. To oznaczało gościnne występy w telewizyjnych programach komediowych i epizody w przygodowo-awanturycznym chłame, ale brałam je tylko pod warunkiem, że będę je reżyserować.

– Mam wrażenie, że reżyserowanie jest dla pani czymś w rodzaju dożywotniej renty.

– Niech pan posłucha. Mam zamiar grać, gdy będę miała czterdzieści pięć, pięćdziesiąt pięć i sześćdziesiąt pięć lat – o ile będę tak długo żyła – choć z biegiem lat otrzymuje się coraz mniej propozycji.

– I zdecydowała pani o tym wszystkim mając trzydzieści lat?

– Oczywiście. Trzydziestoletni aktor nadal jest miody. Po prostu traci resztki niemowłeczego tłuszczu, wyrasta z dzieciństwa i przez następne dwadzieścia pięć czy trzydzieści pięć lat może grać główne role, w przeciwieństwie do dwudziestopięcioletniej, trzydziestopięcioletniej, czy czterdziestoletniej aktorki. Ale czy zna pan jakąś pięćdziesięciopięcioletnią aktorkę, która odgrywa scenę miłosną z trzydziestopięcioletnim aktorem – o ile nie jest to pornos? Daję panu godzinę na podanie nazwiska.

– Ann-Margaret chyba nie ma jeszcze pięćdziesięciu pięciu? – zapytał Mott, podnosząc ostatni kawałek pizzy.

Iona Gamble uśmiechnęła się szeroko.

– Jest pan jej wielbicielem?

– Jedynie konserwatystą – rzekł Mott i wgrzył się w pizzę.

– Cóż, w każdym razie, to dlatego spałam się w trzydzieste urodziny i dlatego od tamtej pory nie tknęłam alkoholu poza trzema piwami i ośmioma lampkami wina – do trzydziestego pierwszego grudnia zeszłego roku.

– Wróćmy do pierwszego spotkania z panem Rice'em.

– Okay. Miał biuro w Century City. Zadzwoił do Jacka Broacha, a Jack zadzwonił do mnie i zaproponował, abym spróbowała. Więc pojechałam na górę – nie wiem, chyba na trzydzieste czwarte piętro? – a tam wprowadzono mnie do porządnego, ale niczym nie wyróżniającego się biura. Billy okazał się czarujący i wręczył mi scenariusz oparty na powieści Lorny Wiley pod tytułem „Siostry Milner”.

Spojrzała pytająco na Motta, który przyznał, że zna tę powieść. Westchnęła z ulgą i mówiła dalej:

– Po tym, jak przyniesiono nam kawę, Billy mówi: „Chciałbym, żebyś w tym zagrała”. Tak, role obydwu siostr są doskonałe, ale Louise jest jedyna w swoim rodzaju, wobec tego pytam: „Kogo mam grać: Louise czy Rose?” I niech pan zgadnie, co odpowiedział?

– Nie mam pojęcia.

– Powiedział: „Myślę, że powinien o tym zdecydować reżyser, a skoro ty nim będziesz, decyzja należy do ciebie”. I w tym momencie pomyślałam, że powinnam zakochać się w Billym, tym fiucie.

– Jak na razie Rice jawi się jako porządny facet.

– Jak na razie. Tak więc kręcimy „Siostry Milner”, które otrzymują doskonałe recenzje, ale nie zarabiają ani centa. Jednak Billy sprawia wrażenie, że się tym nie przejmuje i wyklada sto tysięcy dolarów na prawa do jakiegoś kiepskiego technothrillera, potem płaci milion za scenariusz, wykorzystuje swoje prawa do powieści – jeden przecinek cztery miliona – i angażuje dwudziestoczteroletniego reżysera z brytyjskiej MTV. Ja gram Mavis, dzielną kobietę, która chodzi i mówi jak facet, u boku głupiego starego Nilesa Branda, który dostaje pięć milionów dolarów z groszami. No cóż, całość kosztuje trzydzieści osiem milionów i okazuje się niesamowitym przebojem. Ja dostaję nagrodę krytyków filmowych Los Angeles i nominację Akademii, lecz o Oskarze mogę tylko marzyć, ale kogo to, do diabła, obchodzi poza mną?

– Co potem?

– Potem Billy prosi, bym za niego wyszła. Dzieje się to gdzieś na początku zeszłego roku. I ja, wieczna idiotka, mówię: „Jasne, Billy, to kapitalnie”, i ustalamy datę ślubu na trzydziestego grudnia. Tymczasem Billy kupuje prawa do powieści „Zły Martwy Indianin”, która od trzynastu miesięcy znajduje się na liście bestsellerów nowojorskiego „Timesa”. Kosztuje go to dwa miliony. Gotówką. Wydaje kolejny milion na scenariusz i ogłasza, że jego przyszła żona będzie nie tylko gwiazdą grającą wraz ze starym głupim Nilesem Brandem w wartej sześćdziesiąt pięć mi-

lionów epopei z Dzikiego Zachodu, ale również będzie ją reżyserowała. Nadaża pan, panie Mott?

– Opowiada pani nadzwyczaj jasno.

– Potem jest wigilia Bożego Narodzenia, nieco ponad miesiąc temu. Billy w formie tego, co dzienniki nazywają zwieżłą trzywersową relacją prasową, ogłasza, że ostatecznie nie poślubi Iony Gamble, i że ona nie będzie ani reżyserować, ani grać w jego cudownym filmie o rdzennych mieszkańcach Ameryki.

– Podpisywała pani kontrakt na zdjęcia albo jakąś umowę wstępną?

– Negocjacje prowadził Jack Broach. A kiedy napomknął o umowie wstępnej, powiedziałam, że mnie zależy na małżeństwie, a nie na fuzji, co może nie było zbyt oryginalne, ale wyglądało na to, że Billy wcześniej nie słyszał takiego stwierdzenia.

– Jak pani sądzi, dlaczego Rice zmienił zdanie?

– Nie wiem. Już nigdy z nim nie rozmawiałam. A przynajmniej tak mi się zdaje.

– Ale próbowała pani.

– Dzwoniłam do niego paręset razy, ale bez skutku. Potem, w ostatni dzień starożytności, w dzień naszego niedosłego ślubu, zaczęłam pić. Piłam przez cały dzień, przespałam się, przebudziłam i piłam dalej. Pamiętam, że wsiadłam do samochodu z butelką wódki i wybrałam się do Malibu, by otwarcie porozmawiać z Billym. Ale nie przypominam sobie niczego innego. Wiem tylko, że obudzili mnie dwaj zastępcy szeryfa, a martwy Billy leżał na podłodze swego „plażowego domku”.

– Urwał się pani film?

– Tak.

Mott oparł się na kanapie okrytej kretonowym pokrowcem i przyglądał się Gamble, która teraz przysiadła na skraju fotela po drugiej stronie stolika.

– Zatem był to pani drugi urwany film w życiu. Zakładam, że nie wie pani zbyt wiele o tego rodzaju stanach?

– Dopóki nie porozmawiałam z lekarzem, wiedziałam tylko, że są to sztuczki stosowane w operach mydlanych. Potrzebny konflikt? No to niech urwie się jej film. Albo niech ma atak amnezji. Doktor powiedział mi, że urwany film jest formą amnezji poalkoholowej, powszechnie występującą u nałogowców oraz po ciężkiej popijawie. Powiedział, że do odzyskania pamięci stosuje się hipnozę. Czasami to działa, czasami nie. Ale dodał, że gdybym chciała spróbować, może polecić mi kilku hipnoterapeutów o bardzo dobrych kwalifikacjach. Powiedziałam, że zastanowię się.

– I zastanowiła się pani?

– Jasne. Myślałam o tym. Pomyślałam również, co się stanie, jeśli w trakcie hipnozy wyznam coś żenującego czy obciążającego – a może nawet przyznam się do zamordowania Billy’ego. Gdyby hipnotyzer nagrał to na magnetofonie, mógłby sprzedać kasetę za kupę forsy. A gdyby nagrał na wideo – Bóg wie za ile.

– Mógłby również pójść do więzienia.

– Nie, gdyby twierdził, że ktoś włamał się do niego i ukradł kasetę. Pamiętam Watergate – cóż, przynajmniej częściowo. Wtedy chodziło o coś podobnego, prawda?

– Nie do końca.

– Ale nieuczciwy hipnotyzer mógłby zrobić z kasetami coś, o czym nikt nigdy by się nie dowiedział. Mógłby je sprzedać mnie, co, jak mi się wydaje, zwane jest szantażem.

Iona obdarzyła Motta nikłym zimnym uśmiechem, jakby kwitując trafne stwierdzenie. Mott podrapał się po grzbiecie lewej ręki i powiedział: – A gdybym znalazł hipnoterapeutę o gwarantowanej dyskrecji? Czy byłaby pani zainteresowana próbą odzyskania pamięci?

Iona zmarszczyła brwi.

– To ważne, prawda? Moja pamięć?

– Niezmiernie.

– Zna pan jakichś hipnotyzerów?

– Znam kogoś, kto zna kilku.

– Chodzi panu o to, że ten ktoś właśnie tym się zajmuje – polecaniem hipnotyzerów żonom i przyjaciółkom, którym po ciężkim pijaństwie urwał się film i które załatwiły swoich mężów czy chłopaków, ale niczego nie pamiętają?

Mott uśmiechnął się.

– Ten człowiek zapewnia wyjątkowo wysoko kwalifikowanych i wyjątkowo dyskretnych profesjonalistów do wykonania wyjątkowo delikatnych zadań.

Iona popatrzyła na niego, znowu zmarszczyła brwi i powiedziała: – Czy wszystkie te „wyjątki” oznaczają, że zamierza pan zostać moim adwokatem?

– Jeśli pani chce.

– Okay. Zatem co pan proponuje jako mój adwokat?

– Dyskretnego hipnotyзера o wysokich kwalifikacjach.

– Zatem niech pan dzwoni do swego pośrednika – kimkolwiek on jest.

– Nazywa się Glimm – powiedział Howard Mott. – Enno Glimm.